*Barbara Kosmowska, Panna Foch plus minus 16 (4)*

Co za tydzień! Zaczęło się od „otwarcia salonu”. Mama i tata zaplanowali, że będzie to wielkie rodzinne święto. Spodziewałam się nudy typowej dla wszystkich uroczystości familijnych. Małych i dużych. Tymczasem uczestniczyłam w horrorze na wesoło.

Widok salonu po remoncie utrzymywany był przez rodziców w tajemnicy i trzeba przyznać, że rozświetlone wnętrze wyrwało z naszych piersi okrzyk radosnego zdumienia. A kominek… Kominek sprawił, że po raz pierwszy pomyślałam: To naprawdę mój dom.

Kolacja też została zaplanowana z wielką pompą. Każdy miał zjeść to, co lubi najbardziej. Tata rybę, mama owsiankę, bliźnięta przesłodzoną breję, a ja pyszne spaghetti. Gdy jednak rozpoczęliśmy przygotowania, nagle zabrakło prądu.

Wszystkie oczy skierowały się na tatę.

– To się na wsiach często zdarza – odpowiedział na nieme pytania. – Nauczmy się żyć w ciemności!

– O głodzie i w brudzie? – burknęłam wściekła.

Fasolka zaklaskała z całą mocą.

– Będziemy brudni? Nie trzeba myć nóg? – nie dowierzała, że spotkało ją tyle szczęścia.

– Oczywiście, nie myjemy nóg! – Mamie udzielił się ten dziwny entuzjazm. – A kolację zrobimy… w kominku!

– Spaghetti z kominka? – Całkiem zbaraniałam.

– Nie! Kiełbaski! Zabawmy się w jaskiniowców!

Tata błyskawicznie poparł mamę.

– Po co się wściekać na elektrownię, jeśli można spędzić niepowtarzalny wieczór przy świecach?

– A my w ogóle mamy świece? – Spojrzałam z wyższością na rodziców.

– Nieee. – Mama nadrabiała miną. – Jednak możemy sobie wyobrazić… że mamy ich pod dostatkiem! – dokończyła, otrzymując w nagrodę pełen wdzięczności uśmiech ojca.

– To sobie jeszcze wyobraźcie, że ja się nie godzę! Nie zamierzam żyć bez internetu, moich płyt i telefonu.

– Bobik jest niezawodolony – uznał Groszek.

– …jest niedozwolony! – poprawiła go Fasolka i spojrzała na mnie z wielkim smutkiem.

No tak. Wszyscy bawili się pysznie, tylko ja siedziałam naburmuszona na nowej kanapie, zapadając się nie w nią, ale w coraz bardziej czarny nastrój.

Zazdrościłam im. Że udają jaskiniowców, jedzą palcami, śpiewają głupie piosenki, rzucają w siebie poduszkami i planują kolejne wieczory bez światła. Tylko jak się teraz przyznać, że ja w sumie też bym tak chciała…? Że mój dąs był absolutnie przedwczesny?

– Przyłącz się! – Mój domyślny tata dał mi ponownie szansę, gdy rodzina jednogłośnie postanowiła spędzić noc przed kominkiem.

Legowisko natychmiast zmieniło piękny salon w podejrzaną noclegownię. Zwłaszcza że centralne miejsce zajął Czarny Kieł. Szybko uporał się z nadmiarem kiełbasek, a potem łaskawie pozwolił domownikom walczyć o swoje względy.

– Wskakuj do nas! – Mama w świetle ognia miała uduchowioną twarz, zupełnie jak bohaterka jakiejś starej powieści. Z poświęceniem szykowała kawałek tego barłogu specjalnie dla mnie.

– Dobrze – odparłam, ociągając się, bo chciałam skapitulować z honorem. – Ale to będzie pierwszy i ostatni raz! – zastrzegłam, gotowa dać susa w sam środek gniazda koczowników.

– Oczywiście! – zbyt szybko przytaknął tata.

No i napisałam potem w dzienniku:

*Pomimo głośnego chrapania taty, była to najmilsza rodzinna noc. Okazało się, że brak światła nie tylko irytuje. Czasem pozwala odkryć prawdziwą bliskość, której niepotrzebne są rozpalone do białości żarówki.*

Stadnina Pestka Wiśni stała się moim drugim domem. To dziwne, bo jeżdżę tam rowerem tylko raz w tygodniu. Ale gdy wracam, wiozę w sobie tyle emocji, że nawet bliźniaki nie są w stanie dostarczyć mi takich przeżyć. Świat z grzbietu Rozalii wygląda całkiem inaczej. Jest większy i jakby bardziej dostojny. Ja na siodle też trochę upodabniam się do tego nowego świata. Tylko jak zaczynamy uczyć się nowych rzeczy, staję się jakby mniej dostojna…

Pan Tomasz śmieje się wówczas i powtarza, że „będą ze mnie ludzie”. Mam ochotę go skarcić, bo już są ze mnie ludzie. I to o pięć centymetrów wyżsi niż dwa miesiące temu. Ale tu chodzi o ludzi jeżdżących konno, a nie „wiercących się konno”. Zaciskam zęby i przestaję marzyć o galopie w siną dal. Poruszamy się więc, ja i Rozalia, smętnym stępem, jak na karuzeli. I dam sobie zabrać wodze, jeśli obie nie marzymy o tym samym – aby uciec panu Tomaszowi. Zerwać się i we dwie przemierzać leśne drogi, których tu nie brakuje.

– Kiepsko mi idzie – mruknęłam, gdy już rozsiodłałam Rozalię i starannie wyczyściłam sprzęt jeździecki.

Pan Tomasz powędrował za moim wzrokiem. Patrzyłam na Zuzię i Pawła, niewiele ode mnie starszych, którzy z taką gracją trzymali się swoich wierzchowców, że trudno było od nich oderwać oczy. Zamachali do mnie podczas kolejnego przejazdu.

– Gdybym ja tak machnęła, oglądałabym brzuch Rozalii – westchnęłam.

– Pamiętasz naszą umowę? Bez porównywania się! – Pan Tomasz potrafił przegonić najbardziej ponure myśli. – Zuźka i Paweł jeżdżą już kilka lat. Pomyśl, jak i ty za chwilę będziesz pięknie się trzymać na Hetmanie. Wkrótce go dosiądziesz.

– Wkrótce? – Zadrżałam z radości. – Jeszcze w tym miesiącu?

– Jeszcze w tym roku – pan Tomasz przystopował moje jeździeckie zapędy.

Po południu mama znalazła wolną chwilę pomiędzy szczękami naszych dwóch sąsiadek.

– Dawno cię nie widziałam z inną książką niż Koń. Moje hobby. – Uśmiechnęła się. – Co czytasz? – Spojrzała na okładkę.

– Słonecznikową zimę. Bohaterka jeździ konno – poddałam się, przyłapana na gorącym uczynku.

– Jak mogłam się nie domyślić! – Mama westchnęła teatralnie.

– Przesadzam? – szepnęłam domyślnie, ale ona wcale tak nie uważała.

– Przesadza tata. Swoją fasolę, rzecz jasna – odpowiedziała pogodnie. – I właśnie dlatego, że zawsze miał pasję, tak bardzo mi się kiedyś spodobał…

Już się obawiałam powtórki z opowieści o pierwszej randce, na którą tata przyniósł mamie doniczkę z bezcenną fasolą. Mama zapominała ją podlewać, fasola zwiędła i istniało niebezpieczeństwo, że z uczuciami taty stanie się to samo. Posadziła więc w miejsce nieszczęsnej sadzonki inną roślinę, która okazała się melisą. Tata zjadł ją na uspokojenie, taki był wstrząśnięty jej pomyłką. A potem stałam się pierwszym bobikiem na rodzinnym zagonie.

Mama trwała w zadumie, uśmiechając się do wspomnień, a ja jej uwierzyłam. Że jeśli kochamy coś robić, to nasza miłość może przynieść inną miłość.

Dopiero wieczorem znalazłam czas, by otworzyć dziennik.

*Trochę żałuję, że nie urodziłam się w czasach rycerzy* – napisałam. – *Sądzę, że kiedyś ludzie dużo lepiej jeździli konno, chociaż nie było instruktorów ani szkółek jeździeckich. No i wszyscy mieli konie. Z drugiej strony, gdybym żyła dawniej, nie mogłabym mieć pasji. Bo jeśli każdy jeździ konno, to jest to raczej praca i obowiązek, a nie hobby. Podobnie rzecz się miała z fasolą. Tata byłby dawniej chłopem pańszczyźnianym, a nie odkrywcą. Czyli chyba wcale nie jest źle żyć w czasach koni mechanicznych i popcornu…*

Następnego dnia, kiedy słońce niemiłosiernie przypomniało mi o swoim istnieniu, czekała za oknem kolejna niespodzianka. Zapewne w nocy, po cichu, wdarł się do naszego ogrodu sierpień. Dzięki niemu zauważyłam, że jednak mamy ogród! Pełen kwiatów polnych, kolorowych traw i łopianów, które rosną tu równie zdrowo i dziko jak my.

Fasolka z Groszkiem utonęli w zieleni na dobre, a ja nabrałam pewności, że ogrody wymyślili jacyś pechowi rodzice bliźniaków. W każdym razie nasze potomstwo oszalało na punkcie grzebania w zagonach, siania i podlewania. Co oznaczało, że będę mieć więcej czasu dla Ani i przestanę się spóźniać do stadniny.

– Festyn już za parę dni – zauważyła Ania, gdy wracałyśmy ze spotkania u Zosi – a dziewczyny wciąż na wakacjach… – Ania miała szczególny dar przejmowania się całym światem. – Żeby tylko siostry Bieńkówny dojechały! I Ola Krótka. Bez Oli nie będzie tak wesoło.

Zosia, kuzynka Ani, też stanie na naszym stoisku, chociaż jest dorosła i studiuje w Warszawie. A taka z niej piękność, że mogłaby reklamować wszystko. Nawet chodzenie do szkoły. Pomyślałam z przekąsem, jak bardzo Kinga byłaby zdumiona, widząc Zosię na tej naszej zacofanej wsi.

Powiedziałam o tym Ani. Zdziwiła się.

– Zacofanej? – Brwi dziewczyny powędrowały ze zdumienia w górę. – Nasza wieś jest bardzo nowoczesna! Piszą o tym w gazetach! O naszych sadach… A tata Amy ma ekologiczną hodowlę owiec, której zazdrości mu cała Polska…

– Cała? – upewniłam się, bo jakoś nigdy nie marzyłam o owcach.

– No, rolnicza, ma się rozumieć! A poza tym… Tu przecież jest ślicznie. Sama się zachwycałaś, gdy pokazałam ci widok z góry. – Ania wzruszyła ramionami i zamilkła. Chyba ją uraziłam.

– To prawda… – przytaknęłam – …ale na przykład ta rudera? Przyznasz, że trudno zazdrościć komuś takiej ruiny. – Pokazałam ręką walący się budynek. Ledwo stał na kamiennym fundamencie, szpecąc widok rozzłoconych pól.

Ania przyspieszyła. Dopiero za zakrętem odezwała się cicho:

– To dom Janka Malickiego. Nawet w Wiśniowej Górze nie wszystkim dobrze się powodzi.

– Malickiego? – Próbowałam ustalić, gdzie już słyszałam to nazwisko. – Czy to…

– Tak. To ten, który pomaga twojemu tacie.

Ugryzłam się w język. Głupio było wyznać, że Janka nie posądzałabym nawet o posiadanie nazwiska. Pryszczaty i tyle!

– Skoro to jego dom – prychnęłam – to dlaczego dba o naszą plantację, zamiast zrobić porządek na własnym podwórku?!

– Naprawdę nie wiesz dlaczego? – W głosie Ani wyczułam jakiś żal.

– A skąd mam wiedzieć? Przecież z nim nie rozmawiam… – Teraz ja wzruszyłam ramionami.

– To może porozmawiaj. Chociaż…

Ania znowu zamilkła.

– Chociaż…? – szepnęłam błagalnie, z nadzieją, że wróci do przerwanego wątku.

– …chociaż jak znam Janka, nie będzie chciał się zwierzać. Ja na jego miejscu…

– Skoro on nic nie powie – przerwałam Ani – ty mi wyjaśnij! Oszaleję przez te wasze tajemnice!

Zdenerwował mnie taki brak zaufania. Przecież nie ja wymyśliłam ten przykry temat! Stanął mi na drodze. A właściwie wyrósł w postaci zapadającego się budowlanego straszydła.

– Mama Janka choruje. Od dawna. – Anka ważyła każde słowo, jakby kupowała cukierki na wagę. – Teraz jest w szpitalu. Starsi we wsi mówią, że była kiedyś bardzo ładna. Taka pani z miasta. I grała na pianinie. Przyjechała tu z mężem, który odziedziczył dom. Potem urodził się Janek, a jego ojciec, niewiele wart awanturnik, zostawił rodzinę i uciekł do miasta. Pani Malicka tego nie wytrzymała i… no… choruje.

– W takim razie Pry… to znaczy Janek… powinien zajmować się mamą, a nie siedzieć u nas od rana do nocy! – oburzyłam się.

– Przecież on pracuje, nie siedzi! – Ani głos był przykry. Karcący. – Zawsze u kogoś coś robi, bo oni nie mają pieniędzy… Każdy w Wiśniowej Górze to wie!

Zabolała mnie ta nutka pretensji w głosie Anki. Że niby wszystko jest takie oczywiste, a do mnie nic nie dociera… Bez przesady! Przecież mieszkam tu zaledwie chwilę! – myślałam, żując źdźbło trawy.

Ale w domu zrozumiałam, skąd się wzięło to jej zagniewanie. Otworzyłam dziennik i zakończyłam dzień kolejnym wpisem:

*Oni, ci stąd, są bardzo wrażliwi na swoim punkcie. Albo ja, ta stamtąd, nie potrafię jeszcze ich rozgryźć. Ale racja jest po ich stronie. Powinnam była wiedzieć, że nie każdy ma tu wakacje i zdrowych rodziców. Czyżbym była niedelikatna…? Wściekam się, bo Kinga traktuje mnie inaczej niż kiedyś. Ale dla miejscowych sama jestem Kingą… Koniec z tym! Słowo „Pryszczaty” skreślone!*

Dziennik Janka Muzykanta

*Moja eM w szpitalu, a ja się cieszę. Bo nareszcie ktoś nam pomaga! Okazało się, że lekarz przepisywał jej od lat źle dobrane tabletki. Teraz wszystko się zmieni. Pani Dorota powiedziała, że specjaliści wybiorą odpowiedni lek i że nasze życie wcale nie musi być takie trudne.*

*Teraz eM trafiła pod dobry adres, a ja mieszkam u ciotki i codziennie chodzę na oddział.*

1. Napisz w 5 punktach plan tego opowiadania.
2. Co czuje bohaterka tekstu, gdy dowiaduje się prawdy o Janku?